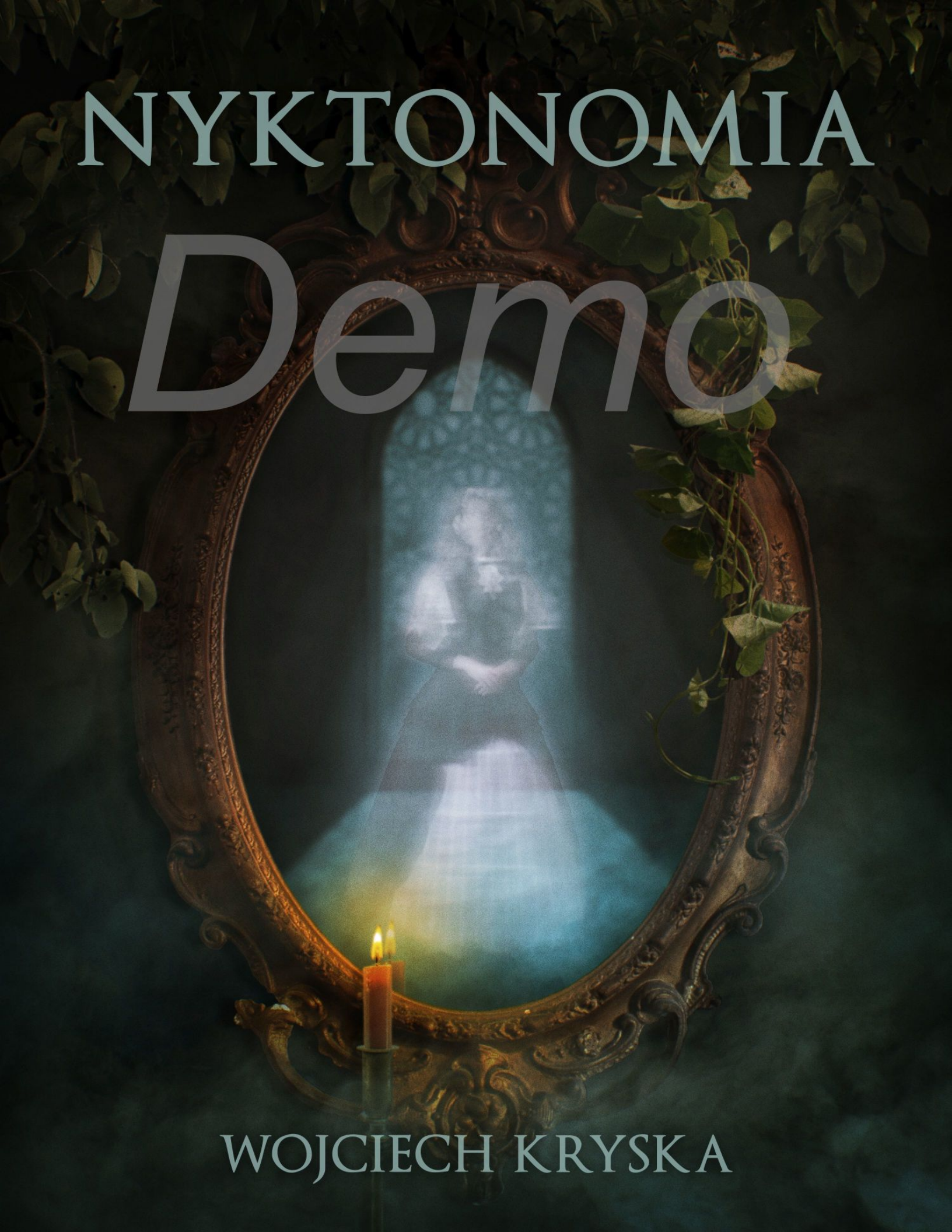


NYKTONOMIA

Demo



WOJCIECH KRYSKA

COPYRIGHT © 2023 Wojciech Kryska

Wydanie pierwsze, Knurów 2023

ISBN 978-83-951802-1-7

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

KOREKTA

Agnieszka Rebelak (<https://lubimyprzecinki.pl>)

OKŁADKA (PROJEKT I WYKONANIE)

Joanna Widomska (https://by_widomska.artstation.com/)



Altti Anonim

WWW: altti.pl

e-mail: marginopis@gmail.com

Spis treści

[Prawdziwa natura Carlosa Silvy.](#)

[Właściwa postawa](#)

Kolekcjoner gruzu

Ku gwiazdom

Zodiak uwolniony

[Ostatni dom przy Cornland Road](#)

Sat stelar

[O czarcie z jeziora](#)

Julia i ja

[Józef Skowron](#)

Chwila cisu

Prawdziwa natura Carlosa Silvy

Obrócił się nagle. Stał na zalanej słonecznym światłem ulicy, ubrany w wygodne buty, lekki szary garnitur i koszulę bez krawata.

„Kim jestem?!”, wybuchło w jego głowie pytanie.

„Anton Seyfried, agent ubezpieczeniowy, czterdzieści pięć lat...”, odpowiedzi rozbłyśkały w jego głowie jak sztuczne ognie w sylwestrowym niebie – jednocześnie, w różnych miejscach i kształtach – rozjaśniając sytuację. Przypomnił sobie żonę, dzieci, dom, przed którym teraz stał. Nielubianą pracę, z której wracał.

Rzecz jasna, zaniepokoił go ten nagły atak amnezji. Osobliwe uczucie, jakby pojawił się znikąd w tym świecie. Czysty, nieukształtowany, nabierający formy dopiero w czasie przypominania sobie swojego życia. Intrygujące uczucie. W jakiś nieprzyzwoity sposób – przyjemne.

Wzdrygnął się i ruszył przez trawnik w kierunku domu. Parterowy budynek, kryty dwuspadowym dachem, otoczony był połącią traw przetykanych gdzieś tam gustownie przyciętymi krzewami bukszpanu.

Zastanawiał go ten atak. Czy się powtórzy? Co to mogło oznaczać? Niezdiagnozowaną padaczkę, która teraz eksploduje jak supernowa, niszcząc jego życie? Czy guz mózgu, który je wygasi jak pochłaniająca wszystko czarna dziura? Marilyn opowiadała o swojej ciotce, która miała takiego guza. Okropny był to los. A może to przemęczenie tak daje znać o sobie?

Był tak zamyślony, że przed drzwiami zahaczył rękawem o krzew róży i rozdarł materiał o krzew róży. Przecież nie miał róż... Obrócił się i popatrzył na swój ogród. No jak to nie miał róż?! Zawsze sadił róże. Nad chodnikiem rozpinały się aż trzy pergole oplecione kolczastymi pędami, a cały trawnik był usiany gustownie przyciętymi krzewami różanymi. Zamrugał szybko. Coś było mocno nie tak. Zapomnieć o różach, też coś.

W domu zrzucił z siebie garnitur i założył proste, luźne dżinsy, a do nich flanelową kraciastą koszulę, jak za grunge'owych młodych lat. Włączył ekspres do kawy i z niejasnych przyczyn podszedł do lustra. Czasami właśnie tak robimy. Jakieś automatyzmy odzywają się poza naszą świadomością i każą nam bezwiednie bawić się ołówkiem, drzeć papiery na

drobne części czy wchodzić do łazienki, gdzie orientujemy się, że żadna sensowna potrzeba nas tam nie zaprowadziła.

Seyfried popatrzył w lustro niewidzącym wzrokiem, zastanawiając się, czy po tym ataku powinien pić kawę, i nasłuchując ekspresu, który z siorbiącym dźwiękiem powoli napełniał filiżankę. W ramie lustra widział przestrzeń po drugiej stronie, jakby fizycznie był tam drugi pokój, z drugim Antonem, z odwrotnym kompletem mebli... Nagle tknęła go ta myśl: tu nie ma tafli szkła! Tylko powietrze delikatnie drżało jak nad asfaltem w gorący dzień. Lustro było rzeczywiście otworem. Wyciągnął rękę i chciał to sprawdzić. Czy ręka przejdzie przez obramowany otwór? Gdy dotknął miejsca, gdzie palce powinny napotkać zimną tafelę szkła, poczuł tylko mrowienie w— palcach, ale całe zwierciadło zaburzyło się, jakby było taflą wody. Kręgi rozeszły się po tym, co wydawało się wcześniej drżącym powietrzem, i obrazy rzeczy z drugiej strony rozfalowały się. Seyfried poczuł nagły atak mdłości podobny do choroby morskiej i szybko opuścił wzrok na podłogę u swoich stóp. Oddychał głęboko, by zmniejszyć ucisk w żołądku.

— Dzień dobry, Antonie – usłyszał za swoimi plecami.

Wzdrygnął się i uniósł głowę, żeby zobaczyć intruza w odbiciu. W lustrze nikogo nie było. Obrócił się gwałtownie. Za nim, a teraz już przed nim, stał Carlos Silva, jego kolega z pracy. Jak tu wszedł? Dlaczego nie widział go w lustrze? Anton rzucił szybkie spojrzenie w kierunku zwierciadła. Po jego drugiej stronie widział tylko swoje odbicie.

— Kim... – wychrypiął, odchrząknął i zaczął raz jeszcze: – Kim jesteś?

— To ja, Carlos – uśmiechnął się przybysz, ale jego uśmiech był jakiś... sztuczny. Jakby dziwna istota przybrała tylko maskę Carlosa i teraz naśladowała ludzkie emocje. Jego oczy miały dziwny wygląd. Białka nie były białe, żyłkowane czerwono, lecz w odcieni sepii i z marmurkową fakturą.

— Nie odbijasza się w lustrze.

— Nie. Nie odbijam się. To naturalny stan.

— Naturalny...? – Do Antona zaczęło powoli dochodzić, co się mogło dziać.

Wampir. To takie oczywiste. Carlos był wampirem, krwio pijącym stworem, które obrało sobie go za ofiarę. Wampiry nie odbijają się w lustrach.

Nagle wszystkie klocki wskoczyły na miejsce. Dziś w pracy mieli zebranie. Przedłużało się trochę, bo omawiana sprawa polisy Cuthbertów okazała się bardziej zagmatwana, niż się pierwotnie spodziewali. Carlos poszedł do automatu po kawę i przyniósł dwa kubki. Jeden dał Antonowi. To ta kawa. Zatrął ją. Teraz to oczywiste. Stąd atak amnezji, halucynacje związane z trawnikiem i widokiem za oknem. A teraz przyszedł dokończyć dzieła. Ale nie pójdzie mu tak łatwo. Już mu nie poszło. Najwyraźniej dawka narkotyku w kawie była zbyt słaba i mimo zaburzeń percepcji Seyfried nadal mógł myśleć jasno.

(...)

Właściwa postawa

Autobus wtoczył się w zatoczkę i zatrzymał. Automatyczne drzwi z charakterystycznym sapnięciem rozsunęły się na boki. W Białozyłach wysiadała zawsze tylko jedna osoba – wracająca z Widawy pani Marta, emerytowana przedszkolanka, gdzie dorabiała, sprzątając po domach i pilnując dzieci rodzicom, którym nie udało się umieścić swoich pociech w zbyt małym, samorządowym przedszkolu. Po pracy szła jeszcze do dyskontu spożywczego. Wprawdzie w Białozyłach był sklep spożywczy, a ona zawsze uważała, że należy wspierać lokalnych przedsiębiorców (zwłaszcza brata zięcia), ale zasobność portfela emeryta nie pozwalała na realizację tego szczytnego postulatu. Dlatego w widawskim dyskoncie spożywczym pakowała zakupy w dwie materiałowe siatki i dreptała z nimi na przystanek, by po półgodzinnej drodze autobusem wysiąść w swojej wiosce i wrócić do mieszkania w popegeerowskim, jednopiętrowym bloku. Na szczęście nie musiała już nosić węgla z piwnicy – w zeszłym roku gmina dopłaciła do wymiany starych pieców kaflowych na gazowe. Z kolei podwyżki cen gazu spowodowały, że musiała jeszcze więcej pracować, by móc pozwolić sobie na komfort ciepłych ścian i ciepłej zupy. Życie.

Niespecjalnie szybko, ale nieustępliwie dreptała przez styczniową ciemność. Wąski chodnik był mokry od niedawnego deszczu i poplamiony kleksami błota. Żółtawe światła ulicznych latarni rozбивały się na wilgotnej kostce brukowej i dodawały ciężkości nieruchomym, nagim gałęziom drzew. Do domu pozostało jeszcze prawie pół kilometra.

Ciemność, deszcz i nagie gałęzie. Nie tak pamiętała te zimy, gdy pracowała w przedszkolu. Chyba te zmiany klimatu faktycznie następują albo pamięć wybiela na wpół zapomniane obrazy. Zimy kiedyś skrzypiały śniegiem pod butami, gdy kilkunastostopniowy mróz szczypał w nosy i uszy. Ale spacer był radością. Każde dziecko przechodziło drobiazgową kontrolę: czy rajtuzki są dobrze naciągnięte przed założeniem butów, rękawiczki wsunięte pod mankieciki ortalionowych kurtek, wełniane czapeczki naciągnięte na czoła, nie dłuższe od ściereczki kuchennej szaliczki owinięte wokół delikatnych gardełek. I dopiero wtedy cała ferajna, trzymając się w parach za ręce, szła na spacer do pobliskiego lasu, by na

polance słuchać opowieści o Pani Zimie, która przybywa z odległych krain leżących za krawędzią Teho i nie odchodzi, nie zabrawszy ze sobą nowych dusz do wspólnej zabawy. Gdy mróz był słabszy, a śniegu sporo, lepili bałwany. Oczywiście prym wiodły te klasyczne, trójsegmentowe, z marchewkowym nosem i węgielkowymi oczkami, ale zdarzały się i węzowe formy gatło, a nawet uproszczone, lecz rozpoznawalne podobizny Innych. Zimę zegnali nieodmiennie w dzień równonocy, podpalając i topiąc kukłę Imary, na tyle podobną do marzanny, by nie budzić niczyich pytań i wątpliwości. Ogień był zresztą częstym elementem atrakcji w ich przedszkolu: ogniska, grille, zabawy taneczne przy pochodniach stanowiły pewną rutynę. Początkowo rodzice mieli wątpliwości, lecz widzieli, że dzieci dzięki temu nie ciągnęło do nieodpowiedzialnych zabaw. W ogóle dzieci z widawskiego przedszkola cechowała pewna powściągliwość w zachowaniu i dobre ułożenie. Czasem można było zauważyć, jak w zamyśleniu ich spojrzenie traci ostrość i usta poruszają się rytmem nauczonych w przedszkolu wierszyków, lecz nigdy nie chciały ich na głos recytować, prócz do bólu klasycznych „Wpadła gruszka do fartuszka” bądź „Ślimak, ślimak, wystaw rogi”.

Teraz zimy były właśnie takie jak dziś: mokre, ciemne, nijakie. Ich zimno odczuwało się przemokniętą mgłą i grypowym dreszczem. Pani Marta pomyślała, że coś ją chyba bierze.

Stali pod zamkniętym spożywczakiem. Puszki taniego piwa w rękach, ryszotkowe słownictwo w ustach, agresja w zachowaniu. Ale pani Marta nie miała gdzie się schować. Ba, gdyby zauważyli w jej ruchu jakąś zmianę, gdyby przeszła na drugą, pozbawioną chodnika stronę drogi, zawróciła lub zwolniła, ukazując swoje wahanie, zadziałałoby to na nich jak szkarłatna muleta na byka.

Pozostało iść. Krok za krokiem. Nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Co dziwne, nie rozpoznawała ich. W takich małych miejscowościach wszyscy się znali. Kilka domów na krzyż, jeden kościół i jeden sklep powodowały, że wszyscy mieszkańcy musieli się stykać właściwie nieustannie. Jeśli ktoś zniknął dłużej niż na jeden dzień, jego nieobecność od razu zauważano. Podobnie z obcymi. Nikt też nowy od lat w Białożyłach się nie pojawił. Ostatni był ten chłopak, co się ożenił z Anką Cześków i wprowadził do ich mieszkania. Ale ci pod sklepem byli zupełnie obcy. Skąd się wzięli w wiosce? Czy jakieś wydarzenie? Czy to koledzy

jednego z chłopaków, którzy szli dopiero do niego na urodziny? Czy może przyjechali w szemranych interesach do któregoś z mieszkańców?

Na razie byli skoncentrowani na sobie. Na jakichś problemach swojego środowiska: ktoś komuś miał oddać pieniądze, ale tego nie zrobił. Trudno powiedzieć – może wierzyciel chciał tych pieniędzy przed umówionym terminem? Może to właśnie jeden z białożyłan był tym dłużnikiem i do niego przyjechali? Wszyscy bohaterowie tego dialogu obdarowani zostali garścią plugawych epitetów, a w tym czasie pani Marta dotarła do kręgu sodowego światła, w którym odbywało się to zgromadzenie. Ze wzrokiem wbitym w chodnik i opuszczonymi ramionami starała się przemknąć, nie skupiając na sobie uwagi. Może odruchowo przyspieszyła kroku.

Minęła ich. Zostali już z tyłu.

— Ej, ty! – głos smagnął ją jak bat. Serce zadudniło, adrenalina spieniła się w żyłach, krok przyspieszył.

— Stój!

Zatrzymała się, bo strach przejął kontrolę.

— Stój, kurwa, jak do ciebie mówię! – W głosie za plecami pojawiła się irytacja.

Powoli obróciła się. Było ich czterech. Ten, który krzyczał, stał już przy niej, dwóch sunęło za nim jak gwardia przyboczna. Czwarty pozostał z tyłu, jakby wstydząc się uczestnictwa w tej scenie.

— Masz tam jakieś wino? Albo browara? – zawarczał przewodnik stada. – Pić się chce, a na tym zadupiu sklep zamknięty, a nawet stacji benzynowej nie ma. Jak wy tu, kurwa, żyjecie? To masz tam coś? – Bezceremonialnie wyrwał jej z ręki siatkę i zaczął w niej grzebać.

Serce waliło jej jak kafar do wbijania mostowych pali. Nic tam nie znajdą. Wysypią jej zakupy, zniszczą, a na koniec pobiją z rozczarowania. Nagle jej wzrok padł na tego ostatniego z napastników, który pozostał z tyłu. Znała go. Marek Czyżyński, mieszkał z rodzicami w domu między centralą nasienną a cmentarzem. Pamiętała, jak chodził do niej do przedszkola. Nieśmiały czarnowłosy chłopak ożywiał się w korowodowych tańcach i przy tych piosenkach wielbiących Czarną Matkę z Lasu, które wydawały się dziwnymi strumieniami samogłosek, a wychowawczynie utrzymywały, że to ćwiczenia wymowy.

— Jak nic nie znajdziemy, to może dostaniemy choć kilka złotych za stratę czasu, co? – podrzucił jeden z przybocznych.

(...)

Ostatni dom przy Cornland Road

Powiedzieć, że dom przy Cornland Road 4300 należał do miasta Chesapeake, byłoby nadużyciem podobnym do stwierdzenia, że Księżyc jest własnością NASA. Posiadłości przy Cornland Road o numerach powyżej czwartego tysiąca znajdowały się w posiadaniu bagien. Wielkich wirginijskich bagien, o których wspominał Jim Morrison w *Texas Radio and the Big Beat*, niedocenionej perełce The Doors.

Większość domów w tej okolicy miała swoich stałych właścicieli – ludzi ceniących prywatność i izolację od tachykardialnego zgiełku miasta. Samotników, jak można by ich staromodnie nazwać. Ostatni dom, położony na końcu, przy skrzyżowaniu z leśną drogą wchodzącą w skład parku narodowego, był jednak wiecznym problemem agentów nieruchomości. Zbyt duży, zbyt stary, zbyt dobrze zachowany, by się go pozbyć, i kurczowo trzymany jako składnik aktywów przez kolejne fundusze inwestycyjne. Stanowił istny wrzód na dupach kolejnych agentów nieruchomości, utrudniając im „wyrobienie targetu”. Mchy, które dokonały udanej inwazji na dach pokryty gontem, wypaczone okiennice, zza których wзираły czarne, otchłanne okna, zszarzałe drewno elewacji oraz zapuszczony ogród, który zagarniały bagienne cyprysy i błotnie, odstraszały tych bardziej delikatnych klientów szukających lokalizacji grillowych z trawnikiem łatwym do obróbki i dużym garażem mieszczącym oba suvy. Ci, którzy najpierw ulegli fascynacji romantycznym otoczeniem, czuli rozdrażnienie i zniechęcenie, a wreszcie uciekali, wyparci przez schody skrzypiące przy każdym kroku i wiecznie niesprawne instalacje: wodno-kanalizacyjną, ogrzewania, a już szczególnie elektryczną. Najbardziej odpornych wyganiały roje much, komarów i czarne niedźwiedzie plądrujące śmietniki z finezją godną zastępów Attyli. W związku z tym trudno powiedzieć, skąd wzięły się pogłoski o upiorach, nocnych dźwiękach podobnych do drapania szczurzych pazurów po szkło i ludziach porywanych prosto do piekła.

Owszem, sama historia posiadłości dostarczała paliwa do podsycania ognia tych opowieści, gdyż dom został zbudowany w połowie dziewiętnastego stulecia przez Christiana de Koka, holenderskiego emigranta – odludka jakich mało, doskonale jednak wiedzącego, jak

komfortowo urządzić się na bagnach. Podobno przywiózł ze sobą jakąś dziwną skrzynkę, niewiele większą od futerału na skrzypce, w której coś grzechotało z pogłosem, jaki nie przystoi małym drewnianym skrzynkom. Podobno były to kości diabła. Podobno od czasu, gdy się sprowadził na bagna, zaczęły się tam dziać złe rzeczy – ludzie znikali w lesie, krzyczeli w snach, kobiety częściej rodziły martwe dzieci. Ale nikt nie mógł udowodnić, że jest to związane z de Kokiem. W końcu Chesapeake w Wirginii to nie Salem w Massachusetts, a i półtora wieku wystarczyło, by ludzie ochłonęli i przemyśleli swoje decyzje, zanim czymś stosem oświecą ciemność swoich serc. Stary de Kok zmarł, a na miejscu pozostał jego najmłodszy syn Piet – uznany w okolicy stolarz i snycerz. Problemy z lasem na bagnach nie minęły, lecz któż by tam oskarżał tak dobrego stolarza o czary? Dom de Koków przechodził z ojca na syna aż do połowy dwudziestego wieku, gdy Bill de Kok, dobrze zapowiadający się prawnik, wyprowadził się do Bostonu i sprzedał posiadłość bankowi. Od tamtej pory, z przyczyn, które wymieniłem, dom nie był zamieszkały przez dłużej niż pięć miesięcy. Nikt nie opisywał problemów z niewyjaśnionymi zjawiskami, natomiast każdy skarżył się na hordy komarów, praktycznie nienaprawialne instalacje oraz potępieńczo skrzypiące schody. Toteż gdy pewnego dnia Timothy Ness – agent nieruchomości, którego dotknęło nieszczęście posiadania w swoim portfelu domu na końcu Cornland Road – usłyszał, że jakiś zespół rockowy chciałby wynająć ten dom na kilka tygodni do nagrania płyty, uszczypnął się, by sprawdzić, czy nie śni.

(...)

O czarcie z jeziora

Teraz psy nie szczekają zwyczajnie – zaczepnie, w celu oznaczenia swojego terytorium i wzajemnego, stadnego wspierania. To szczekanie przepełnione jest strachem. Dosłownie zwierzęcy. To krzyk stworzeń zamkniętych siatkami ogrodzeniowymi, które nie mogą uciec. A może to moje złudzenia? Może psy szczekają normalnie, tylko mój spętany przerażeniem umysł dokonuje projekcji? Czy to ta mgła, która zmaterializowała się znikąd w ciągu kilkunastu sekund, mgła nieprzenikniona jak Otchłanie Ozalryk tak wypacza dźwięki, że psi skowyt wydaje się tak dojmujący? Nie, chyba jednak nie. Właśnie pierwszy z psów, ten najodleglejszy, ze skraju wsi, przestaje szczekać, a jego głos zamienia się w skowyt i skomlenie. Inne psy milkną i zniżają swe głosy do skomlenia, aż znów wybuchną skowyt, gdy udręczony pies cichnie. Teraz kolej na następnego, któregoś z nich.

Jedyna moja nadzieja w ciszy. Ciszy, ciemności i moście, odgradzającym mnie od wsi. Przerzuconym przez rzekę starym żelaznym prześle, które kiedyś nosiło stare pociągi wypełnione węglem i górnikiem. Rzeka cicho płynie kilkanaście metrów niżej, w oprawie wysokich brzegów porośniętych olchą toczy swoje brunatne wody. Tu, wysoko, jestem ja, most i trzymana w spoconych rękach górnicza zapalarka. No i ładunki przymocowane do mostu. Pewnie jest ich za dużo. Stary most zawaliłby się od połowy tego, co tam zamontowałem, ale nie mogę ryzykować. Most i rzeka to moja ostatnia linia obrony. Nie mam już dokąd uciekać. Mogę mieć tylko nadzieję, że w ciszy i ciemności mnie nie znajdzie.

Wszystko przez badania terenowe, które zorganizował świętej pamięci doktor Legutowicz w dwa tysiące siedemnastym roku. To miała być zwyczajna wycieczka doktorantów ze swoim promotorem do zapadłej wioski na Roztoczu. W Paprotniku Małym mieliśmy przez dwa tygodnie wypocząć wśród lasów i łagodnych wzgórz, a przy okazji zebrać trochę materiału naukowego dotyczącego śladów przedchrześcijańskich wierzeń na terenie dawnej Słowiańszczyzny.

Problem zawsze polegał na tym, że Słowianie byli ludźmi słowa, a nie pisma. Trudno powiedzieć, w co wierzyli, gdyż nie spisywali tego. Święte

drzewa, chramy, drewniane bałwany – to wszystko zostało zniszczone. Ksiąg, zwojów, które by można było łatwo ukryć, zwyczajnie nie było. Mozolnie, krok po kroku, wydobywaliśmy wiedzę o słowiańskich kultach, oczyszczając ludowe opowieści, rekonstruując zagrzebane w ziemi rozbite garnce i nadpalone posążki. Tym razem miało być ciekawiej.

Paprotnik Mały to dziwna wieś – zbudowana wzdłuż drogi, ale ta droga ma kształt z grubsza okręgu. Gospodarstwa położone są na jego zewnątrz, jakby każda brama patrzyła do wnętrza jakiejś dziwnej areny. Środek od zawsze był nieużytkiem średnicy około kilometra, wewnątrz którego pełniły się zarośla tarniny, a niemal pośrodku znajdował się stary gaj pełen drzew o powykręcanych groteskowo gałęziach, bardziej podobnych sękatym mackom niż prawdziwym konarom, pokrytych jakimiś grzybnymi naroślami. W tym gaju zawsze unosił się zapach rozkładu i gnijących liści.

Osobliwością tego miejsca był pewien obrzęd odprawiany przez miejscowych.

(...)

Józef Skowron

1.

Podinspektor Rafał Dedal, Komendant Powiatowy Policji w Olszanach, był już zmęczony. Od kilku godzin miotał się po całej komendzie starając się nie tyle zapanować nad chaosem, co zamortyzować upadek swojej kariery. Dwa trupy jednej nocy to wystarczająco dużo, by zacząć się zastanawiać nad tym, czy na jego terenie na pewno wszystko jest w porządku. Ale gdy jeden z nich to funkcjonariusz, a drugi – bezbronny staruszek jadący furmanką, to jednoznacznie wskazuje, że jednostka zasługuje na innego przełożonego.

Wpadł do gabinetu naczelnika wydziału kryminalnego.

— Poszła? – zakrzyknął w progu pytanie.

— Ale że prokurator? – wzrok naczelnika także zdradzał zmęczenie.

Oczy miał przekrwione, powieki nie chciały odkryć całości tęczy.

— Nie, Matka Boska! Oczywiście, że o Babę Jagę pytam!

— To tak... Już z dziesięć minut temu...

— Sumiec, do domu – zakomenderował Dedal. – Ty już swoje zrobiłeś. Jak wyekspediowałeś Babę Jagę z jednostki, to masz polecenie wypocząć.

Komisarz Sumiec, niedawno awansowany na naczelnika wydziału kryminalnego po tym, jak jego poprzednik zwakował stanowisko, odchodząc na zasłużoną emeryturę, patrzył z jakąś niepewnością na przełożonego, zastanawiając się, czy na pewno powinien postąpić, jak mu kazano.

Dedala już nie było w drzwiach. W ogóle nie było go na piętrze. Wiedząc, że opuściła go już dyżurująca prokurator, a kontrola z komendy wojewódzkiej jeszcze nie dotarła, pognął na dół, gdzie zamknięta siedziała sierżant Domaniewska, zabójczyni starego Józwy Skowrona i obecnie jedyny już żyjący uczestnik nocnego zajścia.

— Panie komendancie! – profos wyprężył się w pozycji zasadniczej, gdy Dedal wpadł do jego kantorka.

— Wpuść mnie do Jolki! – rzucił komendant.

Profosowi, nadal wyprężonemu za lichym biurkiem, lekko opadła żuchwa.

— Ale... Bo, komendancie, ona... Na razie nie może zeznawać, bo czekamy na psychologa. Nawet Baba Jaga... to znaczy pani prokurator, nie mogła z nią rozmawiać...

— Wiem, cymbale, sam podpowiedziałem Jolce, że ma domagać się pomocy psycho przed jakimkolwiek protokołem. A teraz chcę z nią pogadać jak człowiek z człowiekiem!

— Ale komendancie, to się nagra na monitoring...

— Słuchaj no, Artek. Nie wiem, czy ty lubisz tę robotę. Czasem to sobie myślę, że właśnie specjalnie udajesz idiotę, żeby tu siedzieć i nic nie robić. A ja ci w tym staram się nie przeszkadzać. Dlatego właśnie cały czas jesteś profosem. Ale jeśli przekroczysz ten subtelny próg i mnie sprowokujesz, to po dwóch następnych opiniach służbowych, sporządzonych w ustawowym odstępie czasowym od siebie, zostaniesz zwolniony ze służby z uwagi na całkowitą do niej nieprzydatność.

Profos zachwiał się, żuchwa opadała mu coraz bardziej, a wzrok rozpaczliwie miotał się po sylwetce przełożonego.

— Nie rób z siebie debila, bo nie ręczę za siebie – warknął komendant. – Od dwóch tygodni rejestrator jest nieczynny, bo się twardy dysk rozsypał, a te dupki z wojewódzkiej nie mają dla nas nowego. Nic się nie nagra, bo nie ma na czym! Ty powinienesz wiedzieć to lepiej ode mnie! A teraz pisz do swojej książeczki, że przyszedłem na nadzór do pedeozetu. I tyle! I wpuść mnie wreszcie do niej!

Gdy drzwi pedeozetu, czyli pomieszczenia dla osób zatrzymanych, zamknęły się za komendantem, ten usiadł na betonowym kłocu pełniącym funkcję pryczy i spojrzał na swoją podwładną.

Sierżant Jolanta Domaniewska siedziała w kącie tejże pryczy z kolanami podciągniętymi pod brodę. Obejmując nogi ramionami, patrzyła zaczerwienionymi od płaczu oczyma na komendanta. Cały czas była w służbowym mundurze.

— Jolka... Przychodzę zapytać jak normalny człowiek. Bo chcę ci pomóc. Co tam się stało?

— Widział... pan nagranie? – zapytała łamiącym się głosem, nie zmieniając pozycji.

Dedała zatkało. Patrol był wyposażony w kamery nasobne rejestrujące przebieg służby. Oczywiście kazał je zabezpieczyć. Naczelnik prewencji,

któremu podlegało ogniwo patrołowo-interwencyjne, już dawno zgrał te nagrania na serwer i oznaczył jako dowód w sprawie. Być może nawet Baba Jaga kazała już sobie je zgrać i zabrała ze sobą płytkę do prokuratury. A on jeszcze nie widział, bo użerał się z dyżurnym wojewódzkim, który koniecznie chciał co chwila jakieś nowe szczegóły i ustalenia. Aż się zastanawiał, czy zaraz zapyta o datę ostatniej opinii służbowej i numer buta nieżyjącego sierżanta Lewkowicza.

— No nie... — niechętnie przyznał. — Nie miałem jeszcze... okazji. Opowiesz?

Mocniej ścisnęła ramionami nogi. Wzrok uciekł w dal.

— A co tu opowiadać... Zabiłam go... Bo zabił Piotrka.

Dedał wciągnął nosem powietrze, wiedząc, że musi postępować ostrożnie, by dowiedzieć się, co się naprawdę wydarzyło. Bo w przeciwnym przypadku zostanie mu tylko informacja, która się nagrała na karcie pamięci kamery nasobnej.

— Powiedz mi, co zrobił Piotrkowi?

(...)